Rok V. Kraków-Podgórze. Niedziela 10 Listopada 1907 Nr. 294

4 Cena Numeru wszędzie Centy (8 halerzy).

PRENUMERATA miesięczna wszędzie zarówno w Krakowie jak na prowincyi 2 K. już z dostawą do domu, względnie z przesyłką pocztową. — Prenumerata za granicą 2 marki, 3 franki, 1 rs. 20 kop.

POJEDYNCZE EGZEMPLARZE NABYWAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH AGENCYACH PISM I NA WSZYSTKICH DWORCACH KOLEJOWYCH.

NOWINY

Dziennik niezawisły demokratyczny illustrowany.

OGŁOSZENIA za wiersz petitu 16 hal., za każdy następny raz 12 hal., drobne ogłoszenia po 4 halerze od wyrazu (minimum 50 hal.). Nadesłane za wiersz petitowy 50 hal., spody na każdej stronie po 3 Kor. — Załączniki 20 Kor. za tysiąc.

Inseraty prowadzi w swoim zarządzie p. M. Hupczyc.

Administracya „NOWIN": Rynek gł. L. 8, otwarta od 9—1 w południe i od 3—5 popołudniu.

Na Lwów Skład i Ekspedycya: Agencya Sokołowskiego, Pasaż Hausmana L. 2.

Redakcya i Administracya „Nowin": Kraków, Rynek gł. L. 8, Tel. 627. Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12 w południe. — Ekspedycya „Nowin" w drukarni Rynek gł. L. 8.

REDAKTOR NACZELNY: LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Wiadomości ustnie, telefonicznie i listownie przyjmuje Redakcya (Tel. 627) od godziny 9 rano do godziny 7 wieczorem w biurze Rynek gł. L. 8, I. p. Rękopisów nie zwraca się.

„NOWINY" wychodzą codziennie wieczorem o godzinie 5-tej. — Cena numeru 4 centy (8 halerzy).

Pany, chłopy — chłopy, pany...

Sztukmistrze konserwatywni. — „Czas" umizga się — — do Stapińskiego. — Bij, zabij demokratów! Co jest „potwornością" w oczach „Czasu". — Stapiński idzie na lep. — Nie będzie z tej mąki konserwatywnego chleba. — Kastowość a prawdziwa demokracya.

Co to szkoła może! co to dobra szkoła może! kuplecik z tym refrenem śpiewa stary lokaj w „Opowieściach Hofmana". Nasi konserwatywni politycy, próbując ratować swą zagrożoną egzystencyę polityczną, okazują się prawdziwemi sztukmistrzami. Ich walka przeciw demokratom, którzy ośmielają się być w większości, świadczy o doskonałej, o wprost niezrównanej szkole; takich macchiawelków intryganckiej kampanii, takich prestidigitatorów pojęciami politycznemi, takich majstrów w obałamucaniu opinii, takich chytrych łapaczy dudków na lep politycznych obietnic — nie znajdziesz w żadnem innem stronnictwie. Nasi krakowscy konserwatyści pod tymi względami dzierżą prym w kraju, talentom ich przewodnich mężów nie sprostać zwyczajnemu śmiertelnikowi, nie pomazanemu oliwą konserwatywnej mądrości i wolnemu od ich koteryjnej bezwzględnej zachłanności i egoistycznej żądzy panowania.

Kampanię swoją przeciw stronnictwom demokratycznym ukoronował „Czas" nowym przedziwnie chytrym zwrotem: *oświadczynami miłości pod adresem ludowców.* Tych samych ludowców, których stronnictwo konserwatywno-szlacheckie zwalczało dotychczas najusilniej, których konserwatywni biskupi i księża najostrzej potępiali, o których przywódcy Stapińskim „Czas" pisał z najzjadliwszą ironią, traktując go jako ograniczonego demagoga!.... A teraz nagle ten sam „Czas" kokietuje ludowców, umizga się do nich i podnosi okrzyk: *„Rolnicy wszystkich partyj łączcie się* — przeciw demokracyi!"

Przeciw demokracyi — a w celu utrzymania przewagi szlachecko konserwatywnej w kraju. Z chytrością i przewrotnością starego demagoga „Czas" pod hasłem kastowo agrarnem próbuje skupić dokoła swego sztandaru wszystkie, dotychczas przezeń pogardzane *żywioły* wiejskie, pragnie je odciągnąć od ich naturalnych sojuszników, od patryotycznego mieszczaństwa, i poprowadzić je do walki z demokracyą. Jeden tylko, jeden cud, z polską szlachtą polski lud — przeciw demokratom. Chłopy, kto w Boga wierzy bijcie demokratów — a potem już *my „wasi starsi bracia"* damy sobie z wami radę!

Taki mądry plan wykombinował sobie „Czas". Teraz już widzimy jasno, jaki sens ma ów dziwny stwór, zwany „prawicą narodową", jaki cel ma „związek rolników" i „bezpartyjna" „Rola", fabrykowana w redakcyi „Czasu". Dążenie większości demokratycznej w Kole polskiem do uzyskania należnego sobie stanowiska, nazywa „Czas"

potwornością!

Żeby Czytelnicy nie posądzili nas o przesadę przytoczymy dosłownie odnośny ustęp „Czasu":

„Dr Głąbiński i towarzysze nie są tak naiwni, żeby nie wiedzieli, *jaką potwornością* jest w kraju o tej co Galicya strukturze społecznej, imperyalistyczne zagarnięcie władzy przez zunifikowaną reprezentacyę najmniej licznej klasy społecznej: mieszczaństwa. Jako rzecz najprostszą i najnaturalniejszą w świecie przedstawiają fakt, że w kraju o ludności w trzech czwartych rolniczej, miejscy demokraci są uprawnionymi przedstawicielami większości i władzy. Marna sztuczka w kraju, który nie może być dalszym resonansem dla demokratycznej blagi. Gdyby bowiem nawet narodowi demokraci byli rzeczywiście reprezentacyą polskiego mieszczaństwa, jeszcze każda próba narzucenia agrarnemu przeważnie społeczeństwu naszemu ich przodownictwa musiałaby wywołać gwałtowną reakcyę. Musiałaby nie tylko *wszystkie żywioły rolnicze* zbliżyć do siebie dla odparcia tej dziwnej pretensyi, ale w łonie samej frakcyi narodowo-demokratycznej sprowadzić przesilenie".

* * *

Chłop polski ma niby zdrowy rozum. Ale wobec takiej chytrej demagogii zdrowy chłopski rozum jakoś nie wytrzymał próby. Przynajmniej zdrowy rozum „Przyjaciela Ludu", (rozumu, zdaniem „Czasu" trudno było tam znaleźć). Na lep poszedł p. Stapiński i na chytre umizgi „Czasu" odpowiedział w „Przyjacielu Ludu" w ten sposób:

„Dla nas, ludowców, taka zmiana rządów, jaką chcieli przeprowadzić Wszechpolacy, byłaby bodajże gorszą od dotychczasowych rządów. Źle dla nas, gdy rządzą obszarnicy, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby rządzili urzędnicy, a stronnictwo wszechpolskie składa się prawie z samych urzędników; trzech chłopów (Fidler, Maślanka, Wiącek) nie może tam mieć żadnego wpływu.

„Z tej walki między obszarnikami, a urzędnikami (!) — być może — wyniknie jakaś korzyść dla ludu. Może nareszcie obszarnicy przyjdą do rozumu i przekonają się, **że bez ludu mała ich siła**, i musieliby przegrać wojnę z urzędnikami, których jest znacznie więcej. Może tedy obszarnicy wyciągną z tych doświadczeń naukę na przyszłość, że trzeba się podzielić władzą z ludem.

„Są pewne oznaki, że to się stanie. Oczywista rzecz, że może się to stać tylko pod tym warunkiem, że ci, którzy chcą porozumienia z ludem, uznają sprawiedliwe żądania ludu.



Król murzyński znużony rządami. (Patrz Rozmaitości str. 3).

„A pierwszem żądaniem ludu jest, będzie i być musi: **że wszystko powinno się dziać podług woli i potrzeby chłopów.** Jako najliczniejszej i najsilniejszej pod każdym względem warstwy w narodzie".

Cudownie. Więc „pierwszem żądaniem ludu", zdaniem pana Stapińskiego, jest, że „**wszystko dziać się powinno według woli i potrzeby chłopów**". Niech nam będzie wolno zapytać się pana Stapińskiego, jakie jest np. drugie żądanie ludu?

„Nowa Reforma", która drukując w swej drukarni „Przyjaciela Ludu", już wczoraj miała w ręku enuncyacyę sławetnego przywódcy ludowców, nazwała pna Stapińskiego „otwartym". — Przymiotnik to nie zupełnie trafny. Mybyśmy pna Stapińskiego nazwali raczej... naiwnym, bardzo a bardzo naiwnym. Podobnie naiwnego wyrazu ducha kastowości, podobnie jaskrawego dowodu krótkowidztwa i ciasnoty poglądów partyjno-chłopskich dawno już nie widzieliśmy. Dorównuje w tem Stapińskiemu tylko — „Czas", który z równą kastowością domaga się uznania wszechwładzy konserwatywno-szlacheckiej koteryi i żąda, aby kraj cały szedł nadal na pasku kuryi wielkiej posiadłości, liczącej coś 2 000 członków. Jak dla Stapińskiego „pierwszem żądaniem ludu jest, że wszystko powinno się dziać podług woli chłopa", tak dla krakowskich stańczyków „pierwszem żądaniem jest, aby wszystko działo się na rozkaz wielkich agraryuszy". Pan wyciągnął do chłopa dwa palce, a chłop chwycił je — i stanął sojusz agrarny na pohybel demokracyi. Tylko że chłop nie widzi, że pan używa go jeno za narzędzie swoich egoistycznych planów.

Ale i pan zawiedzie się na chłopie. Trybun Stapiński jest takim chłopskim fanatykiem, że sojusz z nim stanie się rychło „prawicy narodowej" bardzo niewygodnym... Stapiński będzie szczerze bronił interesów chłopa — więc obecna większość sejmowa niech się nie łudzi, aby między chłopską

Nowy Żyd wieczny tułacz

257 *według Eugeniusza Sue*

opracował Walery Tomicki.

Ciąg dalszy.

Po przeczytaniu mego testamentu, osoba, w której ręku znajdować się będzie nagromadzony kapitał, zawiadomi o jego wielkości i wartości, aby, gdy wybije dwunasta, kapitał ten był wydany i podzielony między spadkobierców, którzy się wtedy znajdą.

Wtedy pokoje domu zostaną im otwarte. Zobaczą oni tam rzeczy, zająć ich mogące, rzeczy godne ich politowania, ich szacunku... wszystko to w żałobnej sali.

Życzeniem mojem jest, aby dom ten nie był sprzedany, żeby umeblowanie jego pozostało bez zmiany i żeby służył za miejsce zbierania się mych potomków, jeżeli, jak się spodziewam, usłuchają mej ostatniej prośby.

Jeżeli, przeciwnie, rozdzielą się, jeżeli zamiast połączyć się i przyczynić wspólnie do najszlachetniejszego przedsięwzięcia, jakiem kiedykolwiek wiek jaki mógłby się odznaczyć, pójdą za samolubnemi namiętnościami; jeżeli bezowocną indywidualność przekładać będą nad płodne zjednoczenie; jeżeli w tym ogromnym majątku upatrywać będą tylko możność płochego marnotrawstwa lub brudnego sknerstwa; przeklęci niech będą przez tych wszystkich, którzyby mogli ich kochać i szanować za ich dobrodziejstwo... niech wtedy dom ten będzie zburzony, rozrzucony, niech wszystkie papiery, których wykaz zostawi Izaak Samuel, równie jak dwa portrety, znajdujące się w czerwonej sali, będą spalone przez stróża mego domu.

Skończyłem...

Mojego obowiązku już dopełniłem.

W tem wszystkiem poszedłem za radą człowieka, którego poważam głęboko.

Wierny przyjaciel, który mi oddał sto pięćdziesiąt tysięcy franków, resztę mego majątku, on jeden tylko wie, jak ja użyć tego kapitału zamierzam... nie mogłem mu odmówić tego dowodu zaufania; ale i przed nim zamilczeć musiałem nazwisko Samuela... inaczej bowiem wystawiłbym albo Izaaka, albo jego następców na największe niebezpieczeństwo.

Wkrótce ten przyjaciel, który nic nie wie o mym niezmiennym zamiarze zakończenia życia, przyjdzie tu z mym notaryuszem; w ich ręce, po dopełnieniu prawnych formalności, złożę niniejszy testament zapieczętowany.

Taka jest moja ostatnia wola.

Działo się dnia 13 lutego 1682 roku, o pierwszej godzinie po południu.

Marjusz de Rennepont.

W miarę jak notaryusz czytał testament, Gabryel różnych naprzemian doznawał wrażeń.

Jego miłosierna, wzniosła dusza, łatwo pojąwszy, jak rozległą, jak szczęśliwą mogła być myśl wspaniałego zjednoczenia się rodzinnego, tak usilnie zalecanego przez Marjusza de Rennéponta... uczuła głęboki żal, gdy sobie wystawiła, że wskutek dobrowolnego zrzeczenia się, i ponieważ żaden inny nie stawił się spadkobierca, myśli tej nie można było dopełnić, i że majątek olbrzymi, daleko większy nad najśmielsze przypuszczenia, miał wpaść w ręce grona ludzi, które używać go może jako straszne narzędzie złości.

Myśli te bezustannie umysł jego zajmowały. Widok portretu kobiety tajemniczej; niespodziane, smutne wiadomości, o których dowiedział się z testamentu; wzniosłość widoków szlachetnych i słusznych w testamencie pana de Rennepont: tyle nadzwyczajnych zdarzeń — wprawiły Gabryela z zadziwienia w niejakie osłupienie, w którem był jeszcze pogrążony, kiedy Samuel, oddając notaryuszowi klucz od teczki, zawierającej rejestr, rzekł:

— W tym rejestrze znajdziesz pan rzeczywisty stan sum, będących w moim depozycie, a to wskutek kapitalizacyi na procent złożonych 150 tysięcy franków, powierzonych memu dziadowi przez pana Maryusza de Rennepont.

— I jak też wielkie są te sumy? — zapytał Rodin z miną napozór najobojętniejszą.

— Takie, jak je tu znajdzie pan notaryusz w tym wykazie — odpowiedział Samuel z największą prostotą i jakby oprócz pierwotnego wkładu 150.000 franków było małoco więcej. — W kasie mam w papierach, kurs w kraju mających, sumę dwieście dwanaście miljonów... sto siedmdziesiąt...

(Dalszy ciąg nastąpi).

chatą a pałacami sterczącymi dumnie, zgoda długo panowała. „Nowa Reforma“ **stanowczo się myli**, gdy pisze: „Stajemy tedy wobec bardzo doniosłego pociągnięcia na szachownicy konjunktur naszych stronnictw krajowych. Ludowcy zwracają się, w imię wyłączności interesów agrarnych, ku tym „obszarnikom-konserwatystom“ — z którymi lat tyle prowadzili zażartą, nieprzejednaną walkę“.

Ta walka nie rychło się skończy, bo po stronie konserwatystów nie znać bynajmniej chęci do abdykowania z władzy na rzecz chłopa.

* * *

W gruncie rzeczy te osobliwe umizgi „Czasu“ do ludowców nie ziębią ani nie grzeją „Unii demokratycznej“. Ludowców w Kole nie ma — i dla samych pięknych oczu eksc. Abrahamowicza p. Stapiński ze swymi chłopami nie wstąpi do Koła. On będzie żądał **realnych** korzyści, realnej zmiany frontu p. t. konserwatystów — a na to **poczeka** trochę.

Demokracya nic a nic nie ucierpiała skutkiem macchiawelskich machinacyj konserwatystów. Demokracya, która żąda równych praw dla wszystkich, która na swoim sztandarze wypisała hasło *sprawiedliwości społecznej*: ta demokracya, **ludowa** i narodowa bynajmniej skutkiem tych wszystkich intryg nie doznała szwanku, przeciwnie coraz widoczniej toruje sobie drogę do zwycięstwa.

Rekonstrukcya gabinetu bar. Becka.

Rekonstrukcya gabinetu napotkała na nowe trudności, ale zostały już prawie usunięte — i nominacya nowych członków ministeryum nastąpi najpóźniej we wtorek. Niemieckie stronnictwa (z wyjątkiem niem. radykałów) oświadczyły się ostatecznie za ugodą. Donoszą z Wiednia:

Wreszcie późnym wieczorem przyszło do zgody. Zgoda polega na następujących zmianach osobistych: Praszek zostaje ministrem bez teki; ministerstwo handlu przyznano Młodoczechom, ale nie ustalono jeszcze kandydata. W rachubę wchodzą trzej posłowie: Herold, Żaczek i Fiedler, bo jak mówią, Młodoczesi pana Vohanki nie chcą. Z trzech wspomnianych wymieniają pos. Herolda jako tego, który ma największe szanse. Dr Ebenhoch obejmuje rolnictwo, dr Gessman mianowany zostanie ministrem bez teki, z zastrzeżeniem, że w kilku tygodniach przeprowadzona będzie organizacya ministerstwa robót publicznych, które on obejmie. Niemieckim ministrem bez teki zostanie Peschka. Listę tę przedłoży prezydent gabinetu bar. Beck cesarzowi w niedzielę. Przypuszczają, że nominacye pojawią się we „Wiener Ztg“ we wtorek lub we środę.

Ogródki robotników.

Królestwo Polskie bardzo mało robi (bo co prawda nie może robić) na polu **społecznem**, mało opiekuje się dobrem klas pracujących, ale jest przecie sprawa, którą **Warszawa** zaćmiła nas: Oto w Warszawie powstały **ogródki robotnicze**.

Wiadomo, czem są w wielu miastach zagranicznych „Gartenlauben“, „Asiles d'ouvriers“, polegające na wydzierżawianiu robotnikom i wyrobnikom małych kawałków placów podmiejskich pod uprawę warzyw i kwiatów oraz pod budowę szałasów, altan i t. p., w których rodzina robotnicza przepędza czas wolny, a głównie niedziele. W wielu miejscach, jak w Berlinie, bogate miasto, własne swe liczne place na ten cel oddaje za małą opłatą.

W Warszawie chciano to również wprowadzić, ale miasto placów prawie że niema, a inicyatorzy odkładali tę robotę na później.

Tymczasem wzięły się do niej zacne kobiety, a na ich czele p. K. Proczkówna i ponieważ, „czego chce kobieta — tego chce Bóg“, robota poszła z miejsca, z doskonałym wynikiem. W „Kuryerze Warsz.“ pisze p. Jankowski:

„Wynik ten oglądałem wczoraj z podziwem. Na stole w jednym z lokalów rozłożono śliczne okazy warzyw, pomiędzy niemi dziwnej wielkości czerwoną kapustę, duże kalafiory, obok wspaniałych ziemniaków. Nie brak też i innych warzyw.

Wyhodowały je ręce, przedtem uprawą warzyw nigdy nie zajęte, ludzie o tej hodowli tak dalece nie mający pojęcia, że przed siewem wypytywali, czy z jednego ziarnka tylko jeden ogórek wyrośnie.

Nie chcę zapożyczać liczb ze sprawozdania p. Proczkówny, ale to powiedzieć muszę, że te suchelki ziemi, po 500 łokci kwadr. mające, dokonały przewrotu w rodzinach, zajętych ich uprawianiem.

Zamiast chleba z wodą — na ich stołach znalazła się teraz smaczna rzodkiewka i sałata; było z czego zrobić zupę, a z okrasą także i smaczną jarzynę. Jedni korzystali z tych darów Bożych przez całe lato, umiejętniejsi uzbierali nawet po kilka korcy na zimę.

Ale ta strona przedmiotu materyalna, lubo także ważna, schodzi na drugi plan wobec oddziaływania tych urządzeń na moralność. Rodzina robotnicza, pociągana tem czarownem posiadaniem ziemi, szła ją obrabiać wczesnym rankiem i po robocie dziennej, która się kończy teraz o 6-tej wiecz. Członkowie rodziny tej, nie zajęci pracą zarobkową, a głównie dzieci i starcy, przepędzali tam dużą część dnia, siejąc, podlewając, pieląc, lub wreszcie przesiadując w ławkach i w skromnych altankach, na świeżem powietrzu. A w niedzielę zamiast iść do „restauracyi“ i przepić zarobek, rodzina szła do swego ogródka i tam oddychała powietrzem, w każdym razie lepszem, niż w ubogiem, ciasnem mieszkaniu, cieszyła się przestrzenią, ozłoconą słońcem, brała w siebie dobroczynne wpływy przestawania z przyrodą.

Objawiło się ono przedewszystkiem w poszanowaniu cudzej własności. Nietylko jedni drugim sąsiedzi z tych działek nie zabierali nic, ale pomimo nieogrodzenia większej części tych ogrodów ludność okoliczna szkód na nich nie wyrządzała, wiedząc, że to jest własność najuboższych. To jest dopiero naprawdę wpajanie uczuć szlachetnych i demokratyzowanie społeczeństwa, nie frazesem, lecz czynem!

Czy mam jeszcze dodawać, że robota w ogródkach zachęca całą rodzinę do posiadania ziemi, a więc do możliwej oszczędności? Ze dzieci, zbliżone z roślinami, muszą zacząć myśleć o tej wspaniałej przyrodzie, która je otacza i swym ogromem obejmie, że zamiast złych nałogów i instynktów, nabywają zamiłowania do pracy, a przez oszczędzanie roślin własnych poszanowania cudzego mienia i roślin wogólności, a nakoniec dochodzą do uwielbienia dla Stwórcy?

W r. 1907 korzystało z ogrodów rodzin 40-ci tylko, w r. 1908 powinno ich być 400 co najmniej. Ogródki przedstawiały się na ogół wzorowo, dwa tylko, dla kontrastu niejako, były zaniedbane: jeden znajdował się w ręku leniwców, drugi miała uboga wdowa, nie mogąca nic poradzić z powodu zajęcia się drobnemi dziećmi“.

Czyby o takich ogródkach nie należało pomyśleć i u nas w Krakowie?

Małżonkowie królowych i żony władców.

Dziwne bywają dzieje związków małżeńskich w rodach panujących. Królowa-dziewica poślubia małżonka; ten nie otrzymuje równocześnie prawa do korony; np. w Anglii. Aleksandra-Wiktorya przez lat przeszło 60 dzierżyła ster państwa, a jej małżonek, ks. Albrecht-August, musiał się zadowalniać skromnem mianem „prince-consort“. W takim samym stosunku pozostaje królowa holenderska do swego męża, Henryka ks. meklemburskiego. Coś podobnego jest i w Austryi. Gdy po najdłuższem życiu Franciszka Józefa wstąpi na tron arcyksiążę Franciszek-Ferdynand d'Este, żona jego otrzyma tytuł „małżonki cesarza“ i będzie pozbawioną wszystkich tych praw zasadniczych, jakie przysługują połowicom monarszym, wywodzącym się z rodów panujących.

Gdy była mowa o związku małżeńskim bratanka cesarskiego (w r. 1890), monarcha wyraził życzenie, by arcyksiążę poślubił wdowę po arcyksięciu Rudolfie. Franciszek-Ferdynand nie poszedł za radą stryja, lecz ożenił się z wybranką swego serca, Zofią hr. Chotekówną z Chotkowa i Wognina (ur. w r. 1868 w Stuttgardzie), a ten związek morganatyczny zamknął potomkom arcyksięcia prawa do tronu.

Gdy dzisiejszy następca tronu habsburskiego powrócił był z długiej podróży zagranicznej, wówczas arcyks. Stefania Rudolfowa oddała swą rękę b. sekretarzowi ambasady, Elemerowi hr. Lonyay de Nagy Lonya e Vasaros-Nemethy. Być może, że ten związek morganatyczny dał podnietę cesarzewiczowi, aby poślubił piękną Czeszkę, wybrankę swego serca. Szlachetny monarcha i głowa domu Habsburskiego zgodził się na nierówny związek małżeński swego następcy. Przecież cesarz już dawniej zezwolił na to, aby jego rodzona wnuczka Elżbieta (pierworodna córka arcyks. Gizeli) wyszła za skromnego porucznika ułanów, bar. Seefrieda. Początkowo Franciszek Józef był stanowczo przeciwny związkowi następcy tronu z hr. Chotekówną; gdy atoli przekonał się, że arcyksięcia łączy z hrabianką miłość gorąca, zezwolił na mesalians.

Zofia-Marya-Józefina-Albina z Choteków ks. Hohenberska, dama Krzyża gwiaździstego i Krzyża orderu Maltańskiego, była przez jakiś czas damą dworu arcyks. Izabelli, pochodzi ze starożytnej szlachty czeskiej, obecnie w znacznej mierze zniemczałej. Jak wiadomo, cesarz nadał swej bratanicy i jej potomkom w r. 1905 tytuł księżnej z przydomkiem „altesse serenissime“. Następnie ustanowił monarcha, że na wszystkich recepcyach, obiadach itd. księżna ma zajmywać miejsce tuż obok arcyksiężnych i arcyksiężniczek. Bądź co bądź zatem jest wielka różnica w stosunkach towarzyskich między damami z rodu Habsburgów, a małżonką następcy tronu. Jeszcze bardziej uwydatnia się ta różnica w kalendarzu Gotajskim. Tam nazwisko księżnej figuruje aż w trzecim dziale rodów książęcych. Dwór austryacki stosuje się ściśle do przepisów tradycyjnej etykiety. Jak wiadomo, dwór wydaje co roku dwa bale: bal dworski i bal u dworu. Ten drugi bal jest poniekąd familijnym, „intime“ i małżonka cesarzewicza otrzymuje zaproszenia tylko na pierwszy.

Wspomnieliśmy o tem, że dwór wiedeński stosuje się ściśle do reguł etykiety. Oto przykład z czasów dawniejszych. W r. 1852 król pruski wysłał Ottona Bismarka do Wiednia w jakiejś dyskretnej misyi. Żelazny kanclerz był wówczas zwyczajnym szlachcicem z przydomkiem „Ritter von“. Król pruski wiedząc, że w Wiedniu przestrzegane są ściśle reguły dawnej etykiety, nadmienił w liście prywatnym do cesarza, że Otton Bismark pochodzi z jednego z najstarszych rodów pruskich. Cesarski marszałek dworu prosił, aby tę wiadomość opublikowano w gazetach w tym celu, aby arystokracya mogła traktować wysłannika królewskiego w sposób zgodny z jego pochodzeniem. Tak się też i stało i Bismarka podejmowano w Wiedniu z wielkimi honorami.

Jakaż będzie rola ks. Zofii, gdy jej małżonek zasiądzie na tronie. Księżna nie będzie odbierała honorów wojskowych podczas wjazdu do burgu. Lecz zdaje się, że po wstąpieniu arcyks. Fr. Ferdynanda na tron, małżonka jego będzie mu towarzyszyła oficyalnie w podróżach zagranicznych i podczas gościny obcych monarchów w Wiedniu będzie pełniła godności gospodyni domu. Nie ulega wątpliwości, że ks. Zofia będzie miała niemały wpływ i na poglądy polityczne przyszłego cesarza Austryi.

Co słychać w mieście?

Kalendarzyk na niedzielę.

Teatr miejski: „Moralność pani Dulskiej“ tragifarsa G. Zapolskiej (ceny zniżone do połowy) o godz. 3-ciej po poł. i „Mściciel“ dramat J. Germana o godz. 7-mej wieczór (nowość).

W Resursie urzędniczej: Kiermasz na dochód opuszczonych dzieci Zakładu F. Żurowskiej o godzinie 3-ciej po poł.

W Domu robotniczym: Przedstawienie amatorskie wraz z zabawą taneczną urządza „Czeladź rzeźnicza“ o godz. 7-mej wieczór.

Cyrk Edison: Przedstawienie kinematograficzne o godz. 4-tej pop. i 8-mej wieczór.

Uniwersytet ludowy: „O powstaniu światła“, 1 wykład p. dra W. Kuźniara, o godzinie 7-mej i pół wieczór.

Odczyty: W Eleuteryi p. J. Dobrowolskiego pt.: „Abstynencya wśród młodzieży finlandzkiej“ o godzinie 7-mej wieczór i w „Ethos“ (Coll. novum sala 39) p. J. Szymańskiego pt. „O lidze obyczajności społecznej i o działalności Stowarzyszeń etycznych“ o godz. 3-ciej po południu.

Kalendarzyk na poniedziałek.

Teatr miejski: „Rycerze północy“ dramat H. Ibsena (popularne) o godz. 7-mej wieczór.

Uniwersytet ludowy: „Zasady chemii“, wykład dra W. Nowaka o godzinie 7-mej i pół wieczór.

Sala Starego Teatru: Koncert orkiestry symfonicznej z Wiednia o godz. 7-mej i pół wieczór.

Cyrk Edison: Przedstawienie kinematograficzne o godz. 8-mej wieczór.

Towarzystwo muzyczne w Krakowie. W poniedziałek d. 11-go i we wtorek 12-go listopada 1907 roku odbędą się w sali starego teatru dwa koncerty orkiestry symfonicznej z Wiednia (Wiener Tonkünstler Orchester-Verein) pod dyr. Oskara Nedbala.

Program poniedziałkowy wypełnią utwory: 1. Beethovena, VI. symfonia F-dur (pastoralna). 2. Leo Weinera, serenada. 3. Goldmarcka, sakuntala, uwertura. 4. Oskara Nedbala, suita z baletu „Durny Janek“.

Program wtorkowy: 1. Liszta, Tasso, Lamento e Trionfo poemat symfoniczny. 2. Griega, suita liryczna op. 54. 3. Dvorzaka, nokturn, na orkiestrę smyczkową. 4. Berlioza, symfonia fantastyczna (epizod z życia artysty). Początek o godzinie pół do 8-mej wieczorem.

Kiermasz. W niedzielę po południu dnia 10-go bm. w sali Resursy urzędniczej w hotelu saskim, odbędzie się wielki kiermasz na dochód „Towarzystwa opieki nad opuszczonemi dziećmi“ (Zakładu F. Żurowskiej). — Bogaty program, liczne niespodzianki, a przedewszystkiem wzniosły cel zachęci z pewnością wielu spragnionych popołudniowej rozrywki do wzięcia udziału w tej zabawie. Komitet urządzający zabawę składają następujące pp.: Stanisława Boczarowa, Witoldowa Chwalibogowska, Michalina Chylińska, Mieczysławowa Dembowska, Janowa Federowiczowa, Karolowa Górska, Józefowa Grodyńska, Władysławowa Grodyńska, Ferdynandowa Hoesickowa, Maryanowa Hubrichowa, Walerowa Jaworska, Franciszkowa Klarowa, Edmundowa Klemensiewiczowa, Karolowa Duszkowa, Franciszkowa Maryewska, Leonowa Mendelsburgowa, Marya Michalska, Józefowa Muczkowska, Zygmuntowa Paleczna, Wanda Pollerowa, Wincentowa Rauscherowa, Aleksandrowa Ripperowa, Albina Salbówna, Ludwikowa Schneidrowa, Michałowa Śliwińska, Kazimierzowa Smolarska, Luise von Steinsberg, Władysławowa Turska, Józefowa Wawreczkowa, Ludwika Wierzbicka, Leonowa Zieleniewska, Zygmuntowa Zielińska. Komitet dołożył wszelkich starań, aby doborem fantów zadowolić publiczność w zupełności. (Między innemi będzie na kiermaszu do wygrania złota bransoleta, wartości 160 koron). Wstęp na salę 40 halerzy, dla młodzieży szkolnej i dzieci 20 hal. Wstęp na galeryę 20 hal. Garderoba 10 hal. Początek kiermaszu o godzinie 3-ciej.

Koncert Heleny hr. Morsztynówny. Od lat kilku, zajmuje się świat muzykalny bardzo żywo, talentem bardzo młodocianym — ale świetnym i niezawodnym. Panna Helena Morsztynówna, zaledwie siedmnastoletnia, posiada dziś już wszystkie środki do wielkiej gry — jest już artystką na wielką skalę. Wyposażona dziwnie składną, silną, wytrwałą, a przytem nadzwyczaj lekką ręką i pamięcią nadzwyczajną — ma tyle prawdziwego zapału, obok prostoty, że słuchacz słucha z zachwytem i ze zdumieniem. — Potężny a ślicznie brzmiący ton — w olbrzymim koncercie Bacha, jest pod tą ręką czemś zupełnie zwyczajnem. — W przeciwieństwie do sztucznej siły, na którą pozują szczególnie kobiety, ton młodej artystki ma potęgę, w której widać olbrzymi zapas sił, pozostający do końca koncertu w całej świeżości. Nagle w utworze pierwszym Sauera, lub w etiudzie Chopina, słuchacz ze zdziwieniem podziwia prześliczne pianissimo, nad wyraz powiewne pasażyki — lekkość i śpiewność. Takie piano może mieć tylko ręka silna. — Przychodzi mimowoli wspomnienie wielkiej Menterowej, wspomnienie tem żywsze — że tu i tam wspaniała technika i siła, nie stanowiła treści, a tylko środek do prawdziwie artystycznych celów.

W pojęciu rozlicznych utworów o treści przeważnie poważnej — młoda artystka dziś już stoi bardzo wysoko. — Wielką zaletą jest poczucie tempa, unikanie gonitwy lub rozwlekania — dalej, potoczystość obok nie tyle może uczucia głębokiego, jak wysoko rozwiniętego smaku — zapał — nie przechodzący nigdy miary artystycznej — i co główne, a zadziwiające, panowanie nad sobą.

Program koncertu, bardzo wybredny, obliczony był oczywiście, na wielki zasób sił — który też dopisał, z równą pewnością i czystością uderzenia, od początku do końca. — Publiczność zdradzała wzrastające wprost zdumienie i zachwyt — niektóre numera programu, jak np. etiudę Chopina, zmuszoną była artystka powtórzyć, aż trzy razy. *Poraj.*

Wieczór listopadowy. Ruchliwe „Koło dramatyczne Związku akademickiego“ urządza w niedzielę 17 bm. w sali „Klubu pocztowego“ „Wieczór listopadowy“. Program dramatyczno-wokalny poprzedzi słowo wstępne prof. Uniw. Jagiell. dra Kutrzeby. Następnie odegrane zostaną I i VI scena z dram. St. Wyspiańskiego „Noc listopadowa“. Atrakcyę programu stanowić będzie nader interesujący obraz sceniczny pióra akad. J. Rączkowskiego, osnuty na tle prześladowań Polaków w Poznańskiem przez rząd pruski. Tytuł interesującego i nader aktualnego owego utworu brzmi: „Wóz Drzymały“. W końcu wypełnią wieczór produkcye solowego śpiewu i kwartet cytrowy pod kier. dyr. „Tow. Cytrzystów“ p. Senowskiego. Początek o godz. 7-ej wiecz. Bilety nabywać można wcześniej w lokalu Tow. „Związku akademickiego“ przy ul. Sławkowskiej w godzinach od 6—8 wieczór.

W sprawie upadku z automobilu, który pociągnął za sobą śmierć ślusarza miejskiego Jana Budy, prokuratorya państwa wdrożyła dochodzenia sądowe. W tym celu przesłuchiwano w sobotę w policyi uczestników jazdy automobilem krytycznej nocy. — Automobil był prywatną własnością p. Librowicza, którym odwoził swoich gości. Do szofera kierującego maszyną śp. Buda przysiadł się niewołany, chcąc się zapoznać ze sposobem kierowania, zwłaszcza, że sam praktykował na miejskiego szofera.

Włamanie. Nieznani sprawcy włamali się onegdaj do mieszkania kupca w Tarnopolu, Schmaryi Spiegelglass, wybiwszy okno, skąd korzystając z nieobecności domowników, pokradli stołowe srebra i znaczną ilość złotej biżuteryi, łącznej wartości 2000 kor.

Awanturnik. Onegdaj przyszedł na tandetę na Kaźmierzu, pijany 25-letni kowal Józef Ściborowski w zamiarze zaopatrzenia się w zimowe buty. Kiedy u jednego z szewców począł je przymierzać, dla wypróbowania ich trwałości zgiąwszy podeszwy, złamał je i buty zniszczył. Poszkodowany wezwał interwencyi policyi, kowal nie dał się jednak wziąć i rzuciwszy się na policyanta schwycił go pod gardło i począł dusić. Zagrożonemu przybyli jednak w pomoc przechodnie, awanturnika ubezwładniono i odstawiono do aresztów.

Nieszczęśliwemu wypadkowi uległ w piątek popołudniu 36-letni kierownik zakładu sadowniczego w Prądniku Czerwonym Karol Jakimowicz. Oto przy nabijaniu, wypaliła strzelba odtylcowa i raniąc boleśnie Jakimowicza w brzuch spowodowała rychłą śmierć. Zawezwane natychmiast pogotowie ratunkowe zastało już zimne zwłoki.

Hyena emigracyjna. W piątek popołudniu ajent

ZMARNOWANY.

przez RUDYARDA KIPLINGA.

Niema gorszego wychowania dla chłopca, jak tak zwane domowe. Takie ochranianie go od wszelkich złych wpływów zwykle ten tylko rezultat miewa, że na tysiąc nieprzyjemności w dalszem życiu jest narażony, a często nawet smutno kończy i po prostu przez nieświadomość i nieumiejętność ocenienia rzeczy wedle właściwej ich miary.

Pozwól szczenięciu zjadać mydło z umywalni i żuć świeżo wyczyszczone buty, a wkrótce się przekonasz, że tak mydło jak i czernidło na zdrowie mu nie wychodzą. Każdy zaś stary pies go nauczy, że gryzienie uszu wielkiego psa złe miewa skutki. Będąc młodym, notuje sobie i pamięta to wszystko i wchodzi w świat z poskromionym apetytem i pięknemi manierami. Gdyby mu zaś nie pozwolić na wszystkie te niewłaściwości młodego wieku, spotkałby się z mydłem, butami i psiemi uszami wtedy dopiero, gdy mu już zęby urosną, a wówczas schorowałby się ciężko, a i cięgi by go nie minęły.

Był razu pewnego chłopak, wychowany według teoryi „domowej ochrony", Teorya ta go zabiła. Spędził w rodzinie całe swe życie, od chwili urodzenia, aż do wstąpienia do szkoły wojskowej w Sandhurst. Wyuczony był pięknie przez prywatnego profesora i pięknie też zdał egzamin wstępny. Co zaś w Sandhurst nauczył się oprócz przedmiotów programem objętych, to rzecz niewielkiej wagi. Rozglądnął się dokoła, znalazł mydło i czernidło, skosztował ich cokolwiek, zauważył, że dobre i — wyszedł z Sandhurst z trochę niższym stopniem, aniżeli wszedł. Wówczas nastąpiła wielka scena z rodziną, która tak wiele się po nim spodziewała i rok nieskazitelnej cnoty w trzeciorzędnym garnizonie, gdzie wszyscy młodsi byli dziećmi, a wszyscy starsi staremi babami. Nakoniec dostał się do Indyi i tam już był zupełnie pozbawiony podpory i opieki rodziny, a zdany całkowicie na samego siebie. Indye, to kraj, w którym przedewszystkiem nie należy brać rzeczy na seryo — chyba słońce południowe wyjąwszy. Za wiele pracy i za wiele energii zabija tam człowieka tak samo, jak u nas rozpusta i pijaństwo. Flirt jest nieszkodliwy, bo wszyscy są beustannie z miejsca na miejsce przenoszeni i albo on albo ona wyjeżdża bezpowrotnie, zanim rzecz zajdzie za daleko. Dobry rezultat pracy nic nie znaczy, bo zawsze znajdzie się ktoś, co go sobie przypisze z pominięciem pracownika. ale i zły nie zaszkodzi, bo są inni, którzy jeszcze gorsze błędy popełniają.

Zabawy nic nie znaczą, bo gdy się jedna skończy, zaczyna się druga, a polegają przeważnie na wygrywaniu od bliźnich pieniędzy. I choroby nic nie znaczą, bo gdy jeden umrze, zaraz znajdzie się drugi, który go zastąpi. Jedna rzecz, co coś warta, to urlop, i dochody z domu.

Otóż chłopak ten przyjechał do Indyi — historya to stara jak góry — i wszystko wziął na seryo. Był ładny i podobał się. Komplementy brał na seryo i martwił się kobietami, które poneja nie były warte. Nowe to i swobodne życie w Indyach znajdował bardzo przyjemnem i jest ono takiem z początku, zwłaszcza dla młokosa. Same tańce, flirty, spacery itd. Kosztował tego wszystkiego, tak jak szczenie kosztuje mydła, tylko że jeść zaczął rozwiniętymi, ostremi zębami.

Brakło mu równowagi — zupełnie tak jak szczenięciu — i dziwił się, że nie znajdował tego uznania, który udziałem jego był w domu rodzicielskim. To mu było przykre.

Sprzeczał się z kolegami i pamiętał te sprzeczki, i podniecony się niemi czuł. Polubił whista i gymkhanę, ale polubił na seryo, tracił na nie pieniądze, bo były dla niego nowością.

Straty swe brał na seryo i mnóstwo energii marnował na wyścigach poneyów tak, jakby to przynajmniej o Derby chodziło. Część tego wszystkiego pochodziła z niedoświadczenia — i szczenię często siły swe marnotrawi na rozszarpanie dywanu — a część z oszołomienia wywołanego nagłem wyrwaniem z domowego zacisza i wpadnięciem w wir światowy. Nikt go przed mydłem i butami nie przestrzegł, bo każdy przeciętny człowiek sądzi, że przeciętny jego bliźni z takiemi rzeczami już się znać musi. Ale żal było patrzeć, jak ten biedny chłopak szarpał się i szamotał wśród nowych dla siebie warunków życia.

Gonitwa ta bez cugli, trwała sześć miesięcy, przez cały chłodny sezon — i myśleliśmy, że upały, świadomość nadwerężonego zdrowia i okulałe wierzchowce, uspokoją chłopaka. Bywa tak w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto.

Tym razem jednak stało się inaczej. Chłopak był tkliwej natury i brał wszystko na seryo, jak już kilkakrotnie poprzednio zauważyłem. Naturalnie, nie wiedzieliśmy, jak on się zapatruje na swoje własne czyny. Ostatecznie nie było nic w nich nadzwyczajnego, nic ponad zwykłe wybryki niedoświadczonego młokosa. Mógł zostać finansowym kaleką, mógł potrzebować trochę kuracyi, ale nic więcej.

Jeden sezon upałów w popiół by obrócił wspomnienie głupstw przez niego popełnionych, a pierwszy lepszy bankier pomógłby mu znowu stanąć na nogi. On jednak widać inaczej się na tę kwestyę zapatrywał i uważał się za zgubionego beznadziejnie. Pułkownik powiedział mu parę słów prawdy i to go jeszcze bardziej rozgoryczyło. A była to przecież najzwyklejsza pułkownikowska połajanka. Ostatnią zaś kroplę dodała mu jedna z pań. Co mu powiedziała nie warto powtarzać, bo była to tylko jedna z tych złośliwych, okrutnych uwag, które kobiety często robią, nie pomyślawszy nad ich znaczeniem. Przez trzy dni po tem nie pokazywał się nigdzie i poprosił o dwudniowy urlop, by udać się na polowanie do inżynierskiego domu odpoczynku, o trzydzieści mil odległego. Urlop dostał i wieczoru tego jeszcze więcej, niż zwykle, dokazywał w klubie oficerskim. Mówił, że będzie strzelać grubego zwierza i o pół do jedenastej zawoławszy „ekkę". odjechał. Że zaś kuropatwy, jedyna zwierzyna, jaka się w tej okolicy znajduje, nie zalicza się do grubego zwierza, więc też wszyscy śmiali się z konceptu. Na drugi dzień jeden z majorów, który się chłopakiem interesował, wrócił z urlopu, a dowiedziawszy się, że protegowany jego wybrał się na „grubego zwierza", brwi zmarszczył i udał się do jego pokoju, gdzie dokładną zrobił rewizyę. Wróciwszy stamtąd, mnie tylko zastał w klubie.

Chłopak pojechał na polowanie z rewolwerami i teką do pisania — rzekł. — Jak pan sądzi, czy to są przedmioty potrzebne do takiej wyprawy?

— Niewiedzieć co, majorze — odpowiedziałem, domyślając się, jakie powziął podejrzenie.

— Czy wiedzieć, czy nie wiedzieć co, a ja zaraz za nim jadę. Jestem niespokojny. — Umiesz pan kłamać? — dodał po chwili.

— Naturalnie. Wszak to do mego powołania należy.

W takim razie musisz pan ze mną jechać. Ubierz się pan w myśliwski strój, weź strzelbę i zaraz tu przychodź. Pojedziemy ekką.

Major zwykle wiedział co robi i czułem, że nie wydaje rozkazów nadarmo. Posłuchałem go więc i w pół godziny potem siedzieliśmy już ze strzelbami i prowizyą na wózku. Major woźnicę odprawił i sam wziął cugle. Z początku jechaliśmy wolno, ale zaledwie z miasta wyjechaliśmy, major poneja popędził galopem. W trzy godziny trzydzieści mil zrobiliśmy, ale biedne stworzenie ledwie żywe przyszło.

Spytałem go raz, na co taki pośpiech. Odparł spokojnie:

— Chłopak już czternaście godzin sam jeden się tam znajduje. Mówię panu, że mię to dręczy.

Przyjechawszy do schroniska, zawołaliśmy służącego ale nie było odpowiedzi.

Wysiedliśmy więc i kierując się ku domowi, wołaliśmy chłopaka po imieniu. Ale znów milczenie nam tylko odpowiedziało.

— Musiał wyjść na polowanie — zauważyłem.

Ale w tej chwili spostrzegłem przez okno płonącą lampę. A była czwarta po południu. Stanęliśmy na werandzie, wstrzymując oddech. Z pokoju słychać było tylko brzęczenie much. Major nic nie powiedział, ale zdjął hełm i wszedł powoli na palcach.

Chłopak leżał na łóżku nieżywy Roztrzaskał sobie głowę rewolwerem prawie na kawałki. Strzelby jego i pościel leżały nierozpakowane, a na stole ujrzałem tekę z fotografiami.

— Biedny, biedny chłopak — mruknął major parę razy, poczem zwrócił się do mnie — musisz mi pan pomódz w tej sprawie.

Wiedząc, że chłopak samobójstwem skończył, domyśliłem się, jaka to ma być pomoc. Usiadłem więc przy stole, zapaliłem cygaro i zabrałem się do przeglądania papierów. Major zaś patrzył mi przez ramię i powtarzał:

— Zapóźno przybyliśmy — jak szczur w norze zginął — biedne, biedne chłopczysko.

Chłopak musiał całą noc spędzić na pisaniu listów do rodziców, do pułkownika i do jakiejś panienki w kraju i zastrzelił się zaraz po skończeniu korespondencyi, bo już długi czas nie żył, jak przyjechaliśmy.

Przeczytałem wszystko i w miarę jak arkusz kończyłem, podawałem go majorowi.

Dopiero z listów tych wyrozumieliśmy, jak bardzo na seryo wszystko brał.

Pisał o „hańbie", której znieść nie może o „wstydzie", o „występnej waryacyi". jaka go opanowała o „zmarnowanem życiu" itd. List zaś do panienki owej, tak był rozgrzewający, że czułem ściskanie w gardle, czytając go. Major zaś nawet nie próbował łez powstrzymać i szanuję go za to. Płakał, kiwając się w prawo i w lewo, i szlochał jak kobieta. O wszystkich głupstwach chłopaka zapomnieliśmy, a myśleliśmy tylko o biedactwie leżącem na łóżku i o tych nagryzmolonych arkuszach. które trzymaliśmy w ręku. Niepodobna było wysłać tych listów do kraju. Złamałyby serce ojcu i zabiłyby biedną matkę, która tak w syna swego wierzyła.

Nakoniec major otwarcie łzy otarł i rzekł:

— Piękna historya dla porządnej angielskiej rodziny. I co my tu zrobimy?

Ja zaś świadomy celu, w jaki mnie tu przywiózł, odparłem:

Chłopak zmarł z cholery. Byliśmy przy nim przez cały czas choroby. Chodź pan. nie miejsce tu na półśrodki. —

Zabraliśmy się teraz do ułożenia listu do rodziców chłopaka. Było gorąco i lampa źle się paliła, ale nareszcie udało mi się przy pomocy majora zfabrykować epistołę ku swemu zadowoleniu. Chłopak był wzorem cnót wszelkich. ukochany przez kolegów i przełożonych miał przed sobą świetną karjerę. Pielęgnowaliśmy go jaknajlepiej w chorobie i zmarł lekko bez cierpień.

Dławiłem się wprost, wypisując to wszystko, ale nie był to czas na małe kłamstwa Skończywszy, roześmiałem się spazmatycznie i major zauważył, że powinniśmy się czegoś napić.

Nie żałowaliśmy też sobie wódki, nie czując bynajmniej działania. Potem zapakowaliśmy zegarek chłopaka, pierścionki i medalion. „Trzeba dodać też pukiel włosów" — rzekł major. — „Kobiety to cenią". Były jednak dowody, dla których nie mogliśmy znaleźć ani jednego pukla stosownego na głowie chłopaka, że jednak miał on czarne włosy, również jak major, więc odciąłem nożem loczek nad skronią tego ostatniego i włożyłem go do przygotowanej paczki Wszystko to zawiązaliśmy i zapieczętowaliśmy pieczęcią chłopaka i wyszliśmy na podwórze z uczuciem morderców po dokonanej zbrodni. Odetchnąwszy i posiliwszy się, wróciliśmy do pokoju i rozpoczęliśmy drugą część naszego dzieła. Nie będę o tem pisać, zbyt było okropne. Spaliliśmy łóżko, a popiół z niego wyrzuciliśmy do kanału.

To samo zrobiliśmy z matami, leżącemi na podłodze, poczem przyniosłem z poblizkiej wioski dwie łopaty — nie chcieliśmy żadnej pomocy krajowców — i wykopaliśmy grób. Zabrało nam to cztery godziny ciężkiej pracy. Odmówiwszy nad grobem „ojcze nasz" i zasypawszy go ziemią, powróciliśmy na werandę — nie do pokoju — i położyliśmy się spać. Byliśmy śmiertelnie znużeni. Kiedyśmy się obudzili, major się odezwał:

— Nie możemy dziś wracać. Pamiętaj pan, chłopak dziś rano skonał. To będzie naturalniej wyglądać. Major musiał cały czas rozmyślać nad tem. zamiast spać.

— A dlaczegóż nie odwozimy go do pułku? — spytałem. —

— Bo by wszyscy uciekli, słysząc o cholerze. — A nasza ekka znikła.

To było prawdą. Zapomnieliśmy o naszym koniku, i poszedł sobie do domu.

Przesiedzieliśmy więc tak cały dzień, zastanawiając się nad tem, czy bajka nasza dobrze ułożona i czy nie znajdzie w niej jakiej słabej strony.

Po południu pokazał się jakiś krajowiec, ale usłyszawszy, że Sahib umarł tu na cholerę, uciekł co tchu. Gdy mrok zapadł, major zaczął opowiadać mi przeróżne straszne historye o samobójstwach, aż mi włosy na głowie stawały. Mówił mi, że sam kiedyś za młodu był nad brzegiem przepaści, rozumie więc dobrze, co biedny chłopak przecierpieć musiał. Nakoniec księżyc zeszedł i ruszyliśmy z powrotem do garnizonu. Szliśmy piechotą z osiem godzin, ale pomimo, że strasznie byliśmy znużeni, nie zapomnieliśmy zajść najpierw do mieszkania chłopaka i na miejsce położyć jego rewolwer wraz z należytą ilością naboi. Położyliśmy też jego tekę na stole. Potem udaliśmy się do pułkownika i złożyliśmy mu raport.

Bajka nasza znalazła wiarę na przeciąg czasu w którym była potrzebną. Bo do dwóch tygodni wszyscy zapomnieli już o chłopaku, chociaż pierwszych dni znaleźli się tacy, którzy zarzut pułkownikowi robili z tego iż ciała nie sprowadził i nie pochował z należytymi wojskowymi honorami. Najsmutniejszym w tem wszystkiem był list od matki chłopaka do mnie, cały zalany wodnistemi plamami, w którym mi dziękowała w serdecznych wyrazach za opiekę nad synem i zapewniała, że do końca życia czuć się będzie moją dłużniczką.

Że mi wiele zawdzięczała, to pewna tylko nie w tym sensie, jak myślała.

Wydawca: Lucyna Szczepańska. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Szczepański. Druk W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie.